Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK IX | WARSZAWA, MAJ 1934 R. | Nr. 5

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St. SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32.

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji—Leszno 20. Tel. 11.46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł. 3, Pojedyńczy numer zł. 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423

TREŚĆ NUMERU

1. *Ks. J. Jelen.* — Czyśmy Go poznali 65
2. *Ks. L. Zaunar.* — Jam jest żywot. 67
3. *Ks. Prof. D. Dr. R. Kesselring.* — Ulryk Zwingljusz 69
4. *P. Hulka-Laskowski,* — Mikołaj Rej 71
5. *Ks. Emil Jelinek.* — Sylwetka Kalwina na tle Reformacji (c. d.) 73
6. *Lector.* — Ze świata. 79
7. Wiadomości z Kościoła i o Kościele 80
8. Ofiary. Porządek nabożeństw . . . . . na okładce

ROK IX WARSZAWA, MAJ Nr. 5

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

Ks. J. JELEN.

Czyśmy Go poznali.

„Którego tedy nie znając czcicie, tego ja wam opowiadam".

Dz. Ap. 17$_{23}$.

Potężny i wspaniały to świadek mocy Bożej, działającej w chrześcijaństwie — Paweł w Atenach!

Wielki bojownik za wiarę w Chrystusa i apostoł — w samem sercu starożytnego świata zamierającej potęgi pogaństwa. Jeszcze płoną ofiarne kadzidła na ołtarzach bogów, jeszcze dumnie napozór stoją olbrzymie świątynie w swej wspaniałej szacie przepychu i drogich kamieni, sreber, marmurów i złota. Ale blask ich kuszący bynajmniej nie razi oślepiająco oczu Pawłowych; dla niego cała ta zewnętrzna szata nie jest przedmiotem podziwu estetycznej natury, dla niego — to raczej symbol olbrzymich żywych potęg, które jaźń człowieczą aż nazbyt silnie odwodzić są w stanie od Boga. Spojrzenia jego raz po raz padają na stojących wokół ludzi, wyznawców pogańskiej religji, którzy zanoszą przed oblicza z metalu i kamienia modły swoje, ofiary i prośby błagalne. I zżyma się Paweł, poprostu chwyta go gniew, zapewne taki sam gniew, jak ten, który wybuchał słowami i czynem u proroków Izraela, gdy ganili oni bałwochwalcze upodobania krnąbrnego swego ludu.

I oto nagle, zdumieniem bezgranicznem zdjęty, staje między posągami na widok napisu, jaki w nieznykły sposób uderzył jego oczy, bo pośród figur niezliczonych z zamieszczonemi na nich napisami: „Apollinowi, Pallas Atenie i Hermesowi", widnieje najwyraźniej napis: „nieznajomemu Bogu"....

Jakież ma być słów tych znaczenie?

Już nieraz zastanawiano się poważnie nad ich treścią. Możliwe, że należałoby uważać je za

najcenniejszy dokument tendencyj monoteistycznych w łonie pogańskiego świata epoki ówczesnej, za dowód, że starożytni grecy obok plejady całej niebiańskich swych władców jednak czcili jedynego Boga. I z historycznego punktu widzenia możnaby przyjąć ostatecznie podobne wyjaśnienie, do takiej bowiem monoteistycznej konkluzji doszli już dawno wielcy myśliciele i pisarze ówczesnego okresu. Nasuwa się wszelako jeszcze inne tłumaczenie tego faktu, może nawet bardziej prawdopodobne. Oto napis ten „nieznajomemu Bogu", to znamię charakterystyczne pogaństwa, w którem tylu przecież herosów i bogów własne posiadało ołtarze, że częstokroć zachodziła obawa, że możnaby zaniedbać poprostu hołdów i czci względem bóstwa, któreby chwilowo w tej mnogiej liczbie innych zapomniane być mogło, bądź też którego nawet z imienia nie znano. By uniknąć takiej profanacji sprawowano kult ołtarza, poświęconego nieznajomemu Bogu.

Do głębi wstrząsnęły sercem Pawłowem przeczytane na ołtarzu słowa i w tejże chwili wzruszony tą gorącą, utajoną, niczem nie przepartą tęsknotą wszystkiego ludu tej ziemi ku temu, którego święte słowa nauki i prawdy nie zajaśniały wówczas jeszcze na ich firmamencie, zrozumiał wagę i znaczenie niezmierne swego posłannictwa, które olśniło go nagle jak błyskawica.

Ta pewność niezachwiana jest mu ostoją prawdziwą, gdy wobec zgromadzonych przedstawicieli staropogańskiego świata kadzideł, kapłanów i figur rzuca ważkie słowa: „którego nie znając czcicie, tego ja wam opowiadam". Ale nie jeszcze jednego do wielu już waszych, nie, lecz jedynego Boga, wobec którego niczem są wszyscy inni, Boga - Władcy niebios i ziemi, który kieruje ludów dziejami, który pragnie posiadać serca wszystkich nas, którego i my jesteśmy rodu i w którym żyjemy i umieramy. Ten właśnie Bóg objawił się w Jezusie Chrystusie i żąda od nas, abyśmy stanowczo i wiernie trwać przy Nim umieli.

Spojrzyjmy dzisiaj wstecz, w mroczną dal, przesłoniętą wieloma wiekami. Przed oczami duszy naszej staje ołtarz, poświęcony nieznajomemu Bogu między poganami. I oni Go szukali, a dziś ani dawniej niemasz zgoła takiej religji, w którejby głębokim nurtem nie płynęły przejawy tęsknoty prawdziwej za czemś wyższem i lepszem, bądź pragnienia niestłumione. Nie znając—czcili Go oni; w niewiedzy swojej służyli Mu, a On ich umiłował. Gdy bowiem pełzała dusza ludzka w rozpaczy bezgranicznej i prośbie serdecznej u stóp pogańskiego posążka, a ciężkie łzy boleści spływały po obliczu, wtedy skłaniał się nad nią nasz Ojciec Niebieski: „dziecię moje nieświadome, choć ty mnie nie rozumiesz, wszelako Ja cię pojmuję; choć nie znasz mnie, Ja cię znam, boś ty mój". Bóg — to jest Bóg! On jest Bogiem wszystkiego świata, jest Bogiem też i ludów, które Go nawet z imienia nie znają tak, jak jest z każdym kwiatem polnym i leśnem drzewem, choć najstarsze drzewo, ni najpiękniejszy kwiat Go nie znają.

Ale nietylko w świecie pogan znajduje się ołtarz nieznajomego Boga, bo spotkać go można w niezliczonych miejscach w naszem chrześcijaństwie. W każdej duszy jest zakątek pewien poświęcony ołtarzowi nieznajomego Boga, każda bowiem piastuje w łonie swojem porywy ku czemuś wielkiemu, niezmierzonemu i nieskończonemu, a przeto musi zatęsknić bezwiednie nawet ku Bogu, jak wątła roślinka, która ku słońcu wyrasta. Wiele jest, nader wiele nieświadomej, nieznanej wiary w Boga w każdej ludzkiej duszy! I jedno zawsze jest pewne: gdzie słowo „Bóg" do głębi żywego, tętniącego serca przeniknąć potrafiło, tam szczęście i pokój rozkwitły. Ale nam już dzisiaj nie wystarcza wieść o nieznajomym głoszona Bogu, jesteśmy bowiem członkami Kościoła nie jakiegoś nieznajomego, lecz objawionego Boga. Paweł w obliczu areopagu wskazał prostą drogę, jaka od nieznajomego do wszystkim nam znanego prowadzi, a tą drogą kroczyć winien świat i każdy z nas. Nieznanego Boga poznaliśmy przez Chrystusa. I nietylko przez Niego, zwiastowano Go już bowiem ustami Mojżesza i proroków Izraela. Lecz dopiero Jezus ukazał nam Ojca w całej postaci miłosierdzia i dobroci — i przez to już znamy Go dostatecznie, każdy bowiem wie, czem mu jest Ojciec jego drogi; rozumie to słowo dziecię małe, pojmuje człowiek w sile wieku, wspomina starzec nad grobem. I to jest niewypowiedzianie proste, a w postaci swej niewysłowienie głębokie. Przez Jezusa droga do Ojca prostą się stała, bo jasno i wyraźnie tłumaczy nam Chrystus etapy tej drogi i uczy pojmować prawdy Boże. A w świetle takiej nauki nawet wtedy, gdy ci, którzy głośno wyznają, że w Boga nie wierzą, nawet wtedy i może właśnie wtedy budzi się w sercach niejasne wspomnienie Ojcowskiego Domu, gdzie miłość na nich oczekiwać się zdaje, a wewnątrz stoją ołtarze z napisami: dobroć, wierność i umiłowanie. I dlatego wołamy do tych,

którzy dziś jeszcze palą kadzidła przed nieznajomych ołtarzami bogów, wraz z Pawłem wołamy „którego nie znając czcicie, tego my wam opowiadamy".

O, idźmyż tą ścieżką, jaka prowadzi od nieznajomego Boga do tego, którego już znamy i któregośmy ukochali, bo droga ta — treść najgłębsza i najpiękniejsza ludzkiego żywota, poprzez radość i łzy, dolę dobrą czy złą wciąż bliżej i bliżej ku Ojcu. Szukajmy, a znajdziemy!

.....

Ks. L. ZAUNAR.

JAM JEST ŻYWOT.

(Ew. Jana 14, 6).

Jezus Chrystus mówiąc o sobie jako drodze do żywota wiecznego, a następnie — jako o prawdzie, streszczającej i zawierającej istotę tego życia, kończy twierdzeniem ostatecznem i decydującem, mówiąc: „Jam jest żywot". To ostatnie twierdzenie jest ukoronowaniem poprzednich, a jednocześnie ich logiczną konsekwencją i wynikiem. Tę stopniową gradację doskonale ujął wielki myśliciel Kościoła Augustyn, tłomacząc słowa Jezusa w ten sposób: Per me venitur, ad me venitur, in me vivitur" (Przeze mnie się przychodzi, do mnie się dochodzi, we mnie się żyje). Czemże jest to zjawisko, które człowiek tak często nazywa życiem? Wiemy, że jest to zjawisko powszechnie znane i przejawiające się na każdym kroku, lecz jednocześnie najbardziej tajemnicze i stanowiące największą zagadkę dla człowieka. Człowiek od niepamiętnych czasów starał się wyjaśnić sobie pochodzenie i sens życia, lecz jego wysiłki okazywały się zawsze bezskutecznemi i ostatecznie zagadka pozostawała nierozwiązana i jest nią po dzień dzisiejszy. Nawet potężny rozwój wiedzy z jej wspaniałemi zdobyczami na każdem niemal polu musiał wstrzymać swój zwycięski zdawało się pochód przed zagadnieniem źródła i istoty życia. Można snuć najmędrsze teorje czy hipotezy o powstaniu świata nieorganicznego, można go budować w myśl teorji molekularnej, atomów, jonów i elektronów, można chemicznie spreparować jajko i ziarno zboża, ale nie można tchnąć w nie życia, tej cudownej siły, która stwarza ruch, wzrost, rozwój. Czy kiedykolwiek człowiek dojdzie do właściwego rozwiązania i czy stanie się panem i rozkazodawcą tej największej potęgi, jaką zna i jakiej ciągle pożąda?

W kwestji źródła i treści życia wypowiada się również i Pismo Św.: wyjaśnieniom, szukającym rozwiązania zagadnienia w wielkościach — że tak powiem — mikroskopijnych, przeciwstawia ono wielkość i potęgę nieskończoną w osobie Boga, jako Stwórcy i Istoty, mającej życie w samej sobie. Przedwieczny Bóg powoduje wszelkie życie, ku swej czci i chwale udziela go innym. Lecz jeśli tak jest — powiemy może — jeżeli Bóg jest życiem i jego jedynem źródłem, to skąd i dlaczego żyje zło, niestety tak bardzo żywotne, różnorodne i niewygasające zda się nigdy? Po co i skąd istnieją w świecie materjalnym potwory okropne, a w świecie moralnym zarodki niezwalczone samolubstwa, złości, nienawiści, niskich pożądliwości?

Pismo Święte odpowiada nam stwierdzając, że świat nasz nie jest idealnym, jest terenem walki o wolność ducha naszego, a nadużycie tej wolności ze strony stworzenia powoduje zło dla niego samego. Łatwo też zauważyć można ścisłą łączność, jaką przeprowadza Pismo Święte pomiędzy myślą o grzechu z myślą o śmierci, jako jego skutku, i zachowuje najpiękniejsze swe obietnice o życiu wiecznem dla tych, który w tym świecie nadają swemu życiu kierunek zgodny z prawem Boga. Jest to nuta wspólna całej Biblji na długiej przestrzeni wieków i poglądów ludzkich, w jakich ona powstała, czy to w historji pierwszego grzechu, czy w poglądach Apostoła Pawła. Jest to więc jednolity pogląd ufnej wiary, która po przez długie, bolesne często i ciężkie doświadczenia tego świata, nie pozwala wydrzeć sobie pewności i istotnie jedynej swej ostoi, że zło i jego tak liczne a różnorodne przejawy są jednak zjawiskiem przemijającem, które musi znikać w miarę wzrostu świadomości piękna prawa Bożego w sercu człowieka, a które zniknie, gdy człowiek według słów Jezusowych: doskonałym będzie, jako jego Ojciec w Niebiesiech.

Tę naukę o Bogu jako źródle życia i życiu samem w sobie okazał i unaocznił człowiekowi w całej pełni, bogactwie i pięknie Jezus Chrystus, Istota doskonała, prawdziwe objawienie Boga wśród ludzi, i zgodnie z Jego słowami: „Jako Ojciec ma żywot sam w sobie, tak też dał i Synowi, aby go miał w samym sobie". Cudowne i potężne to słowo, a ufając w jego potęgę możemy być pewni, że

ani szatan z całą swą przewrotną mocą, ani słaby nasz rozum, tak często błądzący w najbardziej prostych pozornie sprawach, ani żadne jego systemy, pozornie genjalne, a jednak bezsilne, ani ich zgubne często dla serc naszych skutki nie mają życia w samym sobie: one zapożyczają już istniejący fakt życia, zniekształcają go i zaciemniają, ale go nie tworzą, ani nawet wyjaśniają.

Wspomniałem poprzednio, że życie jest dla nas wielką tajemnicą: czy nie jest to zastanawiające dla nas? Wszystkie potężne wysiłki, jakie czyni człowiek na ziemi, mają na celu stworzenie dzieł, które mogłyby pozostać na zawsze, by móc powiedzieć z poetą: „Non omnis moriar" (nie cały umrę). Pragnie przynajmniej pamięć o sobie wyzwolić z mocy niebytu i zapomnienia, a jednak śmierć obala największe nawet usiłowania, a to, co miało świadczyć o potędze i mocy człowieka, świadczy— jak nas o tem wymownie przekonywują potężne pomniki pychy ludzkiej—piramidy, że pozostał tylko cień nieuchwytny czegoś, co się życiem być mieniło, a bezpowrotnie jest go pozbawionem. Kiedy jednak upodoba się Bogu dać zarodek życia ziarnku zboża, lub mikroskopijnemu żyjątku, zaprawdę mogą przeminąć nad nim wieki całe, a ono przetrwa i palące się słońce i zimne podmuchy wichrów: nic nie zabije w niem życia i przyjdzie chwila, gdy ono się przejawi i wyda owoc swój.

Te wszystkie zjawiska życia w świecie materjalnym są jakgdyby parabolami i obrazami tego, co w sferze życia duchowego dokonał nam przez swoje dzieło Jezus Chrystus. On bowiem objawił nam piękno życia zgodnego z prawem Bożem, życie takie, jakiem chce go mieć Bóg, życie w świętości, sprawiedliwości i miłości, które istnieje dla Bożej chwały, a które nie znika, nie przemija, albowiem dla jego realizacji istnieje człowiek i cały jego świat. O nim to mówi Apostoł: „Bóg dał nam życie wieczne, a to życie jest w Synu Jego". Chrystus, mając życie w sobie samym, przynosi go też innym: żył On w świecie podobnym pod względem życia duchowego do suchej bezwodnej pustyni, a rósł jak roślina kiełkująca z gleby kamienistej i wysuszonej. A jednak tam, gdzie kładł na serca ludzkie swą pełną miłości dłoń, gdzie przemawiał do człowieka, życie wracało, człowiek się odradzał, stawał się prawdziwie żyjącym, pełnym dziwnej a potężnej energji życiowej, zdolnym do czynów niepojętych dlań poprzednio. To czynił Jezus wszędzie, wśród żydów czy wśród pogan swego wieku, wśród barbarzyńskiego świata wczesnego średniowiecza, w okresie moralnego upodlenia i ciemnoty okresu przedreformacyjnego, wśród ludów dzikich czy kulturalnych, Tam gdzie działa Chrystus, tam rodzi się życie, tam się ono rozwija, krzepnie i wydaje błogosławiony i bogaty owoc swój dla każdego, kto w niem ma swój udział. Jezus nie ogranicza swej działalności do wskazania człowiekowi drogi do Boga, a przeto do życia prowadzącej. Jezus nie uważa swej misji za spełnioną z chwilą, gdy wskazał człowiekowi swą wielką prawdę o Bogu. Wie bowiem, że można być na dobrej drodze i z niej łatwo zboczyć, by wejść na manowce, można widzieć i znać prawdę, można się nią nawet zachwycać, a jednak zostać nieczystym wobec niej, ba! uczynić sobie z niej wygodny pretekst dla własnych pożądań i dla krzywdy innych, można ją wreszcie znać, a jednak nie być zdolnym za nią iść, jej się poddać. Wszak miał przed oczyma przykład uczonych w Piśmie, których słusznie charakteryzuje, nazywając ich „grobami pobielanemi". W myśl pojęć i nauk Jezusa błędem jest przekonanie głoszące, że „wiedzieć znaczy móc". Czyż my dzisiaj nie stwierdzamy na każdym kroku słuszności myśli Jezusowej? Czy nasza wiedza dała lub daje nam do ręki oręż do walki z kłamstwem, podłością i nienawiścią? Czy nas istotnie uszlachetnia, czyni lepszymi, a więc bogatszymi i szczęśliwszymi? Nie, trzeba nam więcej niźli wiadomości, niż nawet poznania prawdy najwyższej, trzeba nam życia, jako siły twórczej, która zdolna jest oddziałać nietylko na nasz rozum, ale i na nasze serce, na najbardziej osobiste pierwiastki naszej istoty moralnej, na te głębie duszy naszej, gdzie powstaje w nas pojęcie woli, albowiem stąd płyną dla nas potoki życia, tam jest w nas samo zagadnienie życia. Dlatego też Jezus daje nam w sobie to właśnie życie! dlatego też przestrzega każdego z nas przed skutkami jego zlekceważenia, mowiąc: „Jeśli nie będziecie jedli mego ciała i pili mej krwi, pomrzecie". Wychodziło zeń dla każdego człowieka życie, a kto umiał poddać się jego przenikającej działalności—odżywał, stawał się nowym człowiekiem.

Za Jezusem szedł zastęp ludzi, a byli to ludzie, o których mniemano, że nic nie znaczą dla świata, albo że są dlań zbyteczni i nawet szkodliwi. Przypomnijmy sobie ową Marję Magdalenę, której dusza zdało się obumarła dawno dla pojęć obowiązku, nadziei i honoru. Lecz przez te biedne często dusze powiał nowy duch i odżyły, odrodziły się, stały się nieśmiertelnemi dla wieków i tysiącleci, jako przepiękne wzory człowieka, który nauczył się szukać w Jezusie Chrystusie rozwiązania zagadki życia, a który znalazł to rozwiązanie dla siebie w Jego słowie: Jam jest żywot!

Tem samem swojem słowem przemawia do naszych dusz w naszych trudach, znojach i wątpliwościach ten sam nasz Pan i Zbawiciel Jezus Chrystus. Niezmienne jest Jego słowo, niezmienną Jego prawda, bo też niezmienne są nasze ludzkie nadzieje i pragnienia. Czy my tak dzisiaj pyszniący się naszą mądrością

jesteśmy bliżej rozwiązania zagadki życia niż żyd czy rzymianin czasów Jezusowych? Czy my rozwijając nasz umysł rozwinęliśmy więcej i lepiej niż oni nasze serca dla dobra i miłości? Czy dzisiaj człowiek jest silniejszym i bardziej twórczym wewnętrznie, a czystszym w życiu własnem, osobistem czy społecznem? Możnaby mnożyć takie pytania w nieskończoność, a na wszystkie otrzymać jedną tylko odpowiedź: nie! Nie, gdyż możemy się o tem aż nazbyt łatwo przekonać na każdym niemal kroku, nie, gdyż w nas i wokół nas pełno jest podłości i grzechu, nie, gdyż umiemy ustami naszemi głosić chwałę Boga, a czynem naszym Go poniewierać i zohydzać innym. Czegóż więc nam dzisiaj więcej potrzeba, jeśli nie życia? Gdzież szukać lepszego jego wyrazu niż w Chrystusie? Nie dziwmy się przeto, że Zbawiciel głosi nam dziś tę samą prawdę, co i przed lat tysiącami, a gdy w sercach naszych rozlega się głos tęsknoty do twórczego, dobrego i wiecznego życia, słuchajmy pilnie słów Jezusowych gdy mówi i do nas: „Jam jest żywot".

Ks. Prof. D. Dr. R. KESSELRING.

ULRYK ZWINGLJUSZ.

(W 450 rocznicę urodzin wielkiego teologa i reformatora).

III.

Nie udał się Zwingljusz do Maria-Einsiedeln, tego refugjum dusz nękanych świadomością grzechu i strapionych winą pobożnych pątników, by w gniewnem milczeniu, wbrew głosom burzącego się w nim sumienia, przypatrywać się tym nabożnym tłumom, które zdala już witał złocistemi zgłoskami wypisany napis nad wejściem głównem do kościoła i klasztoru: „Tu znajdziecie odpuszczenie wszystkich grzechów!" Już same te słowa oburzyły Zwingljusza do głębi, jakkolwiek wiedział, iż na ich poparcie służyły przechowywane w archiwum klasztornem bulle papieskie. Jak Luter w kilka lat później nie padł w proch przed przekleństwem, potępieniem i groźbą takiej bulli, lecz śmiało rzucił ją na płonący, z ksiąg kanonicznego prawa ułożony stos, tak i Zwingljusz nie ugiął hardego, szwajcarskiego karku i „rogatego czoła" przed włodarzami klasztoru, przed opatem i biskupami. „Nie wierzcie, że Bóg tylko w tej świątyni mieszka. On mieszka wszędzie. Na całym świecie, gdziekolwiek przebywać będziecie, tam On jest wam bliski. On was otacza, wysłucha, jeśli tylko wasze modły są słuszne. Bezmyślne, bezowocne modlitwy, długie pielgrzymki, ofiary i wota złożone, by upiększyć bezduszne obrazy, nie przysporzą wam bożych łask. Cóż znaczą długa paplanina, habit i tonzura, cóż powłóczysta szata duchowna? Bóg spogląda na nasze serca, które jeszcze zdala są od Pana. Chrześcijanie naszych dni zbyt chętnie słuchają i zważają na nasze słowa a zapominają o Słowie Bożem. Myślicie o tem, by odkupić się od skutków i następstw grzechu, a nie myślicie o tem, by grzechów unikać. Biada tym nieszczęsnym, którzy wierzą i łudzą się, iż skrwawione ich mordem i grabieżą ręce przez kościół będą zmyte i oczyszczone. Czyż Królowa Niebios, do której zwracacie się w modlitwach waszych, jest opiekunką wszystkich przestępców? Czy święci, przed którymi na kolana padacie, słowem tylko a nie czynami swemi zasłużyli sobie na Niebo?" (Wyjątki z kazań Zwingljusza).

Takie kazania głosił Zwingljusz w latach 1516—1518, wywołując niemi zgorszenie u jednych a podziw dla niezwykłej odwagi swej u drugich. Biskupom a nawet kardynałowi w Sillen (Sion w kantonie Genewskim) odpowiada twardo i krótko: „Całe papiestwo na fałszywym opiera się fundamencie. Nowe światło wschodzi, które ludziom oczy otworzy. Nie miecza, ale pastorału niech się imają nasi książęta kościelni. Wówczas zmienią się czasy i grzeszność ludu ustanie".

A jednak mimo takich głosów — Erazm Rotterdamczyk, Reuchlin, cięty jak osa Hutten jeszcze silniejsze wydobywają ze swojej lutni akordy, bezwzględniejsi są w zwalczaniu przesądów, niegodnych praktyk religijnych, ciemięstwa ze strony Kurji Papieskiej! — Zwingljusz w okresie swojej działalności w Maria-Einsiedeln bynajmniej nie jest jeszcze świadomym swoich dróg i celów reformatorem. Podobnie jak Luter nie był nim jeszcze w roku 1517!

Nie jest Zwingljusz, jak zresztą i Luter i inni reformatorowie, bryłą jednolitą, o jednakowym układzie wszystkich cząstek. Był on człowiekiem w pełnem tego słowa znaczeniu, z ułomnościami i wadami, od których nawet najwięksi genjusze nie są wolni. Wszak i oni dźwigają lub wloką za sobą to wszystko, co

jako ciężar gatunkowy ich krwi i ciała, tej przyziemnej materji, z ich poglądami i wierzeniami tworzy nierozłączną całość i wyciska piętno na ich duchowem obliczu.

Dziwnym się nam wydawać musi taki szczegół z życia Zwingljusza, nie wszystkim zapewne znany, iż ten sam Zwingljusz, który w Maria-Einsiedeln gorszył się kultem relikwij świętych, sam w roku 1517 wybiera się do Akwizgranu (Aachen), aby złożyć pokłon sławnym tam świętościom i relikwjom: koszuli Matki Bożej i spodniom Józefa, które wedle podania służyły Marji jako pieluszki dla Jezusa (Kohler, str. 15). Nie wspominamy o tem, by ośmieszyć pobożne wierzenia innych, lecz by wykazać, jak silne są mimo wszystko wpływy tradycji i spojeń historycznych. Żadnemu z reformatorów walka z Kościołem nie sprawiała przyjemności, żaden bez ciężkich zmagań wewnętrznych nie przystąpił do burzenia starych, głęboko zakorzenionych wierzeń! Znalezienie nowej prawdy i nowego sensu życiowego następuje jak narodziny nowej istoty ludzkiej po wielkich cierpieniach i bólach!

Wybitny autor włoski Papini w dziele „Żywy Dante" stawia dziejopisarstwu współczesnemu zadanie, unikać zarówno zbytecznego ubóstwiania jak też i niskich i głupich oczernień wielkich postaci dziejowych. „Obracamy się, jak zaklęci, dokoła uświęconego wizerunku, dokoła tradycji, pragnącej ukryć cienie i wszystko, co zbytnio ludzkie". Tak niejeden z grona Reformatorów nam protestantom znany jest tylko z owych deklamatorskich zdań, wygłaszanych przy każdej nadającej się i nienadającej sposobności. To „odbronzowianie", zaniechanie zbytecznego apoteozowania, szukanie prawdy dziejowej da nam dopiero prawdziwy o b r a z — a nie one, jak wyraża się Papini, słodkawe, może i wstrętne oleodruki! — danej postaci dziejowej, która ludzkości się naprawdę zasłużyła i przez to zapisała się w jej wdzięcznej pamięci.

Zwingljusz jest najlepszym dowodem, iż ludzie czynu, śmiałego i zdeterminowanego czynu są budowniczymi dziejów. Nie było miasteczka w Szwajcarji na przełomie wieków nowożytnych, w któremby przy tysiącznych okazjach, zwłaszcza wystawiając ówczesnym zwyczajem przeróżne sztuki ludowe, misterja religijne, o satyrycznej tendencji, nie szydzono z chciwych, niemoralnych, obłudnych i ciemnych księży. Ulubionym tematem tych sztuk ludowych, wystawianych z nadzwyczajnym przepychem, przy współudziale 300—400 aktorów, niejednokrotnie przez 2—3 dni, była krytyka i chłosta już najwyraźniejsza t. zw. odpustu. Gdy w sierpniu 1518 r. bosy karmelita Bernard Samson z Medjolanu przybył do Szwajcarji, głosząc odpust i ofiarując swoje usługi przy jego nabywaniu, Szwajcarzy, czuli zawsze, jeśli chodzi o ich trzos, i niechętnie pozbywający się grosza, ofiarni jednak tam, gdzie ofiarność jest na miejscu, przyklasnęli swemu Zwingljuszowi, kiedy ten w Maria-Einsiedeln nawoływał: nie dajcie się zwodzić, nie kupujcie odpustu, Chrystus nas odkupił, on nas zbawił, znużonych i strudzonych, skruszonych i wierzących do siebie przywołał. To wystąpienie Zwingljusza, o którem mówiono we wszystkich kantonach szwajcarskich, zwróciło powszechną uwagę na tego młodego, bo ledwie 35 lat liczącego kapłana, który, jak to w jednej sztuce ludowej wyrażano, niby drugi Luter „przywiązał kotowi dzwonek do ogona". Ta popularność w wyższym stopniu aniżeli erudycja, przyjaźń Erazma, otworzyły mu drogę do karjery, do zaszczytnego stanowiska proboszcza w Zurychu, najważniejszem mieście szwajcarskiem. Powołanie to niespodziewanie natrafiło na silny opór ze strony niechętnych Zwingljuszowi przeciwników. Zarzucano mu zbytnie rozmiłowanie w muzyce, literaturze klasycznej. Niestety była jednak i inna, draźliwsza sprawa, o której badacze dziejów Reformacji długo nie wiedzieli, bo o niej słuch zaginął. Jan Schulthess, profesor w Zurychu, odszukał w archiwum zurychskiem list, w którym Zwingljusz szczerze i otwarcie przyznaje się do innego czynu: do uwiedzenia córki pewnego urzędnika, kiedy był jeszcze bardzo młody. List ten przez Schulthessa został ogłoszony drukiem, przyczem uczony wyraził się: „Wahałem się, czy list ten, rzucający cień na osobę wielkiego reformatora, zniszczyć. Nie uczyniłem tego. Protestantyzm dąży do prawdy, nie bacząc na te czy owe względy". Na zarzuty wrogów reformatora i Kościoła naszego odpowiemy: „Czy wielki ojciec Kościoła Augustyn nie przyznawał się do rozpusty w młodości swojej, co nie było przeszkodą, iż po nawróceniu się swojem został świętym. Czy życie św. Franciszka z Assyżu, najszlachetniejszej istoty, jaką znają dzieje Kościoła i ludzkości, za młodu nie upływało w rozpustnych biesiadach?

P. HULKA-LASKOWSKI.

MIKOŁAJ REJ.

Ewangelicy polscy mają specjalny kult dla ojca piśmiennictwa Polskiego, Mikołaja Reja, który jest zarazem jednym z największych współwyznawców ich, ale droga do niego nie należy do łatwych. Współczesność z bogactwem swej treści życiowej przesłoniła nam treść jego pism, artystyczna forma współczesnej literatury ujawnia całą nieporadność początków prozy Rejowskiej, a jeszcze bardziej początków tych wierszy, w których wyraz walczy z myślą, a myśl z wyrazem. To też przy każdem zetknięciu się z pismami Reja postać jego ginęła nam z oczu za olbrzymiemi bibljotekami polskiemi i za stuleciami polskich dziejów. Jednem słowem odległość między nami a Rejem taka jest wielka, jak różnica między artystyczną fotografją współczesną a temi naiwnemi drzeworytami, które ukazują nam pana Mikołaja, „wyrzezanego na klocku".

A jednak ten Rej, taki zdawałoby się daleki, niemal niedosiężny, staje się nam dziwnie bliski, gdy życie jego opowiada pisarz-artysta. Wychodzi we Lwowie (Nakładem Państwowego wydawnictwa książek szkolnych, ul. Kurkowa Nr. 21) Bibljoteka życiorysów, „Wielcy ludzie", i w tej-to Bibljotece ukazał się niedawno życiorys Reja z Nagłowic pióra Stanisława Wasylewskiego. Życiorys ten, liczący zaledwie 141 stronic formatu powieściowego jest napisany tak żywo, interesująco i ładnie, że czyta się go jak najciekawszą powieść. Ten sam Rej, który w podręcznikach literatury staje się poprostu tylko „pozycją", czemś takiem, od czego trzeba zacząć, w książce Wasylewskiego nabiera rumieńców życia, staje się nam zbumiewająco bliskim, postacią żywą i ożywczą.

Jest tak zapewne dlatego przedewszystkiem, że Wasylewski szeroko podmalował tło dziejowe i pokazał nam jak żyli i czuli współcześnicy Reja. Zaczyna się jak zawsze u ludzi wybitnych, od skarg na krnąbrność Mikołajka, który mając lat dziewięć uczyć się nie chciał, bo był jeszcze za młody i głupi; w szkołach lwowskich nauka też nie pociągała go nadmiernie, bo już był podrosły, a w Akademji krakowskiej nie wiele skorzystał, bo już rozumiał przyjemności wesołego towarzystwa. Ten wrodzony niejako opór przeciwko tradycji wychowawczej i szkolnej przeniesie Rej z wieku młodzieńczego w wiek męski i przeciwstawi się z całym zapałem tradycji panującego kosmopolityzmu łacińskiego i wbrew twierdzeniom kardynała Hozjusza, że katolicki naród winien posługiwać się wyłącznie językiem katolickim, czyli łaciną, Rej występuje z tezą, że „Polacy nie gęsi a swój język mają".

Rzecz prosta, że język ten, który w ciągu bardzo długiego czasu musiał ustępować łacinie, nie był ani bogaty, ani doskonały, o ile chodziło o wyrażanie rzeczy subtelnych i nowych, ale tkwiły w nim wszystkie możliwości rozwojowe. Chodziło tylko o to, aby uczynić śmiały początek i zacząć posługiwać się tą mową, która po trzech wiekach miała stać się jedną z najbogatszych i najpiękniejszych w Europie. W tem jest właśnie nieśmiertelna zasługa Reja, że ten początek uczynił i że język polski uczynił Polakom miłym. Dla szlachty polskiej żaden z pisarzy współczesnych Rejowi, a nawet bezpośrednich następców, którzy idąc śladem Reja także po polsku pisali, nie był tak dostępny, jak właśnie Rej. Bo współcześni Rejowi pisarze chociaż także pisali po polsku, zajmowali się sprawami dość obcemi duchowi polskiemu, przeszczepiając w język polski to. co przedtem kultywowała łacina. Natomiast Rej nietylko że używał języka polskiego dla wyrażania swoich myśli, ale pisał wyłącznie o rzeczach polskich, przedstawiając nie jakieś sprawy kosmopolityczne, zagraniczne, ale właśnie polskie. W pismach jego jest nietylko polska forma językowa, lecz i rdzenna polska treść.

Zdumiewa to tembardziej, że Rej był bądź co bądź wrażliwy na wpływy świata obcego, który oddziaływał na życie nasze bardzo potężnie swą wielką falą humanizmu i reformacji. Ale sprzeczność jest tylko pozorna: Rej, podobnie jak cała szlachta, był przecie we własnem mniemaniu dobrym chrześcijaninem i należał do takich, którym nie było obojętne, czy wyznają chrześcijaństwo prawdziwe, oparte na „szczyrem Słowie Bożem". Do tego ideowego i idealnego momentu dochodzi jeszcze sprawa inna, mianowicie walka o przywileje stanowe. Brückner w swoich „Dziejach literatury polskiej" stwierdza fakt, że kler rzymski, będący zrazu jedynym stanem oświeconym Rzeczypospolitej, bardzo rychło zaczął sięgać po władzę aż wreszcie zdobył ogromne dla siebie przywileje. Gdy szlachta polska biorąc przykład z kleru, zaczęła podobnież walczyć o przywileje dla siebie, konflikt między stanem świeckim a duchownym był nieunikniony, a reformacja jako krytyka kościelnictwa i klerykalizmu rzymskiego była ogromnie pożądaną okazją do rozprawienia się z roszczeniami duchowieństwa.

Powiada Wasylewski, że w reformacji polskiej nie o dogmaty chodziło, ale o politykę. Dajmy na to, że tak było istotnie. Czyliż przykładem nie służył kler, który ze swego uprzywilejowanego stanowiska kościelnego uczynił sobie odskocznię dla zdobycia władzy nad całem życiem społecznem i państwowem? On sam więc nakreślił niejako linję postępowania szlachcie, która zachęcona przykładem duchowieństwa, zapragnęła zdobyć dla siebie takie same przywileje, jakie posiadał kler. Walka o wolność, czyli jak powiedzielibyśmy dzisiaj, o demokrację, była nieubłagana. Szlachta polska tak serdecznie nienawidziła sądownictwa biskupiego, że na sejmie piotrkowskim w roku 1552, gdy załatwiano spór świeckich z duchowieństwem, Marcin Zborowski powiedział, że gdyby biskupi utrzymali się przy prawie sądownictwa, to on zabierze żonę i dzieci i ucieknie z Polski. Wtedy to biskup krakowski Zebrzydowski, zwracając się do szlachty sejmującej, rzucił pytanie: „Czemże będę, gdy o herezji sądu mieć nie będę: biskupem, czy woźnym?" Na to odpowiedział mu hetman Tarnowski, gorliwy zresztą katolik: „Prędzej tobie być woźnym, Zebrzydowski, niż mnie niewolnikiem!" Duchowieństwo opierało swoje roszczenia na Piśmie Świętem, szlachta, której roszczenia te były wysoce niemiłe, odpierała je przy pomocy tegoż Pisma Świętego. Metodycznie było to w porządku.

Tak samo mają się rzeczy z Rejem kaznodzieją i nauczycielem. Nie jest pozbawione momentów wysoce humorystycznych, gdy Wasylewski przytacza zarzuty ks. Wujka z Wągrowca czynione Rejowi, który jako laik nigdy się Pisma specjalnie nie uczył, a wiek swój młody i średni „w żarciech, karciech, dworstwiech i szyderstwiech, w kunściech a rymowaniu strawił". Byłoby można podtrzymać ten zarzut, gdyby Rej był wyjątkiem pod tym względem i gdyby cała szlachta była inna. Ale nietylko że Rej nie różnił się od reszty szlachty w tych „żarciech i karciech", lecz i duchowieństwo nie lepsze było od całej szlachty. Używało wszak życia na wszelki sposób i to tak nawet, że nieraz niemoralnością i wyuzdaniem przodowało ludziom świeckim. Wszak to właśnie w wieku 16-ym magistrat miasta Przemyśla zakazał mieszczanom obcować z duchowieństwem dla jego zepsucia i życia niemoralnego. Z naszej perspektywy może mieć słuszność Wasylewski, gdy śmieje się, że sybaryta Rej nawołuje do pokuty i wstrzemięźliwości. „Wagant, rozdobęda, wesołek, pasibrzuch, który nagle woła: — Niechaj będą biodra przepasane, a pochodnie gorejące!"

W tem zestawieniu jest moment nieprzezwyciężonej humorystyki, ale takie zestawienie możliwe jest dopiero dzisiaj, z naszej perspektywy. Takich kontrastów dawniej nie było, nie dostrzegano ich wcale. Wogóle romanizm nie dostrzega ich nawet dzisiaj. Każdy bywalec kina widzi jak np. w południowych Włoszech czy też w Hiszpanji wielkie święta na cześć Matki Boskiej czy najznakomitszych świętych obchodzone są ni mniej ni więcej tylko tańcami zbiorowemi. W książce Ptaśnika o kulturze wieków średnich można doczytać się rzeczy zgoła ciekawych o bliskiem sąsiedztwie kościoła i karczmy, bo przecie duchowni sami bywali propinatorami i szynkarzami. Nawet na dworach papieskich nie było tych wielkich różnic między życiem religijnem a używaniem życia, jakie dzisiaj dostrzegamy wszędzie. Rej nie był więc gorszy od przeciętnego duchownego i dlatego nie sądzimy, aby jego czytelnicy, a nawet ci, co go znali zbliska, dostrzegali byli sprzeczności i przeciwieństwa w jego życiu i w jego nauczaniu. Był człowiekiem swoich czasów i nie różnił się od swoich współcześników. Oto wszystko.

Wiadomo, że Rej dał pierwszeństwo kalwinizmowi przed luteranizmem. Wasylewski tłomaczy to tem, że „religja Lutra miała charakter wybitnie mieszczański i zbyt kompromisowy w zasadniczych sprawach... W ręce władcy oddawał Luter rząd Kościoła, jego dobra i skarby. Ujmując ludzi w surowe rygory, był Kościół luterski, jak ktoś się dowcipnie niedawno wyraził, „państwowym zakładem przymusowego ubezpieczenia na wieczność". Otóż zdaje się, że to przymusowe ubezpieczenie na wieczność jest w luterstwie poprostu naśladowaniem wzorów rzymskich. Herezjologja rzymska nie znała miłosierdzia wobec heretyków. W Kościele rzymskim istniał nietylko przymus, lecz były nawet straszliwe sankcje, karzące śmiercią wszelkich heretyków. Luter zapoczątkowując dzieło reformacji, nie odrazu zdobył się na to, co później przeprowadził konsekwentny w swem dziele Kalwin. Ale kalwinizm nie jest bynajmniej ułatwieniem wobec luteranizmu: raczej przeciwnie. Kto zna dzieje Genewy pod panowaniem Kalwina, temu nie trzeba mówić jaki ascetyczny rygor panował w tem mieście rządzonem przez nieubłagany rygoryzm Kalwina.

Wogóle czasy Reja w niczem nie są podobne do czasów naszych i dlatego nasze miary moralne nie pasują do tamtych czasów. Ludzie byli wtedy krewcy, rubaszni, czy nawet brutalni. Gdzież znalazłby się dzisiaj człowiek tak ciemny i dziki, aby chciał znieważać wierzenia swoich bliźnich, albo wytrącać z rąk kapłana katolickiego monstrancję z hostją poświęconą? Wasylewski opowiada o literacie Erazmie Otwinowskim, który razem z pastorem jednobożan, Paklepką, napadli w roku 1563 procesję Bożego Ciała. Uczestnicy procesji śpiewali pobożną pieśń rzymską: „W tej hostyji jest Bóg żywy, choć zakryty lecz prawdziwy!" Wtedy stała się rzecz, jakiej dzisiaj

wyobrazić sobie wprost nie umiemy: „Na to wyskoczył przyczajony pastor Paklepka wołając gromko i mącąc nastrój uroczysty: —„Hejhej! niema takich, coby nie ścierpieli bluźnierstwa takiego?" Wtedy Otwinowski przyskoczył do księdza niosącego monstrancję i dalejże do niego: „Tyle razy już napominałem cię, abyś tego nie czynił. Obiecałeś na Boga i znów grzeszysz, czyniąc. Mów mi zaraz modlitwę Pańską!" Wystraszony ksiądz zaczyna mówić: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie..." Otwinowski czekał tylko na te słowa i przerwał księdzu z furją: „A więc w niebie, a nie w chlebie, w puszce twej". Wyrwał księdzu monstrancję, rzucił na ziemię i podeptał. Brutalność niepojęta i zawstydzająca, ale dopiero z naszej perspektywy tak odczuwana. Wtedy zaś była odczuta i potraktowana zgoła inaczej i dlatego była nie tem, za co ją przeciętny człowiek dzisiejszy uważa.

Oczywiście, delikt był gruby i napastnikowi groził sąd i ciężki wyrok. Ale jakże dziwnie wszystko się kończy! Rej występuje przed sądem sejmowym i broni Erazma z Otwinowa w sposób nieco niezwykły, wywodząc: „Erazm obraził i Boga i księdza. Winien przeprosić i zapłacić szkodę. Za szkło stłuczone niech da szeląga, trzeciaka na mąkę za hostję skruszoną. Obrazę Boską zostawcie Bogu i czasowi. Jeśli była, pomści ją Bóg piorunami, rozpadnięciem ziemi, lub w inny sposób. Bo skoro srodze pomścił krzywdę uczynioną Mojżeszowi przez Korego, Datana i Abirona, że ich ziemia pochłonęła z rodzinami i mieniem — temci bardziej skarze tego, co, wedle pozwu, samego Boga tak obraził. Na taką zbrodnię niema prawa żadnego".

Rozumowanie bezsprzecznie logiczne, ale jakże dalekie od nastawienia naszego! Te cztery wieki, które upłynęły między tamtą chwilą a czasami naszemi, zmieniły świat do gruntu i dlatego nie należy postaci Reja w tych właśnie sprawach mierzyć miarą czasów naszych. To są zastrzeżenia, które w niczem nie przynoszą ujmy doskonałej pracy Wasylewskiego. Obok formalnych uchybień, które tu wytknęliśmy, ma ona wielkie wartości przedewszystkiem w tem ujęciu całokształtu życia i pracy Reja na tle jego czasów. Wasylewski doskonale panuje nad swoim materjałem, opowiada z wielką lekkością i swobodą; równie łatwo jak językiem współczesnym, umie w razie potrzeby posłużyć się wyrażeniami języka wieku 16-go i bardzo w porę potrafi zilustrować swój wykład zapożyczając się zgrabnie u dykteryjki i anegdoty. Nie znaczy to, oczywiście, aby miał opowiadać anegdoty, lecz że materjał anegdotyczny nie jest mu obcy i że autor bardzo w porę umie z niego skorzystać.

Pozatem książeczka jest niewielka. Nie mamy dziś ani czasu, ani ochoty na studjowanie wielkich foljałów, więc życiorys, który niczego istotnego nie omija, a który w dodatku przeczytać można z dużą przyjemnością w ciągu paru godzin przygodnego wypoczynku jest tem cenniejszy. Autor nie pominął nawet tego, że dzisiejszość w wielkich swoich przedstawicielach, jak np. Wyspiański, odwraca się od Reja z pewnym nawet despektem. Wyspiański powiada wręcz, że Rej jest tumanem bożym wieku 16-go, że nie powinno się wydawać jego „głupstw". Ale Wasylewski odpowiada na to, że bez tego podłoża, które stworzył Rej, a które pewnym współczesnym wydaje się głupstwem, nie można wyobrazić sobie tego wszystkiego, co przyszło później. Kultura narodowa nie mogła obejść się bez języka narodowego, a ten język mógł się rozwinąć tylko przez używanie go. Rej dał przykład, przekreślając wielowiekową rutynę używania łaciny. W dodatku treścią swoich pism odrazu trafił w sedno rzeczy i przypadł do smaku braciom-szlachcie. Gdyby próba używania języka polskiego była wypadła nie tak pomyślnie, literatura polska byłaby musiała jeszcze może długo czekać na swego ojca. I właśnie to ojcostwo literatury jest wielką zasługą Reja, która pomimo krytycyzm współczesny nie będzie odjęta od niego.

Ks. EMIL JELINEK.

SYLWETKA KALWINA NA TLE REFORMACJI.

(c. d:)

Nieprzychylne jeśli nie wręcz wrogie wobec poczynań Kalwina i duchowieństwa stanowisko Rady, zasilonej obecnie wydatnie elementem libertyńskim, tembardziej ośmielało stare nałogi pospólstwa i wzmacniało reakcyjne nastroje genewskiego ludu. Podziemna dotąd praca Libertynów poczęła teraz jawne wydawać owoce. Lud lekceważył duchownych i

wyszydzał nabożeństwa. Nawet religijni przeciwnicy, nie podzielający poglądów Reformatora, śmielej niż dotąd podnosili głowy. Dnia 16 października 1551 r. były karmelita Hieronim Bolsec, korzystając z domniemanej nieobecności Kalwina w Genewie, publicznie ostro napadł na naukę Reformatora o predestynacji, czyniąc Kalwinowi najcięższe zarzuty. Rychło jednak Bolsec umilkł, kiedy wystąpił niespodziewanie Kalwin i w dłuższej mowie wykazał świadome kłamstwo przeciwnika. Rada wypędziła wprawdzie Bolseca z granic miasta, ale długi jeszcze czas burzyciel ów wzniecał swary i niepokoje w łonie reformacji szwajcarskiej, póki wreszcie w r. 1563 nie przyjął ponownie katolicyzmu. Nie mógł jednak darować Kalwinowi swej porażki. W niepohamowanej żądzy zemsty napisał on o życiu reformatora genewskiego i jego przyjaciela Bezy oszczerczą książkę, która później stała się źródłem niesamowitych opowieści o życiu obu reformatorów. Między innemi zarzucał w niej Bolsec Kalwinowi najokropniejsze wykroczenia przeciwko moralności, za które kat miał nawet naznaczyć reformatora piętnem hańby. Również śmierć Kalwina przedstawił b. karmelita w odpowiednich barwach: Kalwin, zwątpiwszy rzekomo o zbawieniu, miał podobno wzywać djabła i oddać ducha wśród najokropniejszych klątw i złorzeczeń. Historycy katoliccy długo pełną garścią czerpali z tej książki niesamowite historje z Kalwinowego życia, a nawet i dziś jeszcze niejeden z dobrą wiarą powtarza baśni wylęgłe w schorzałym zemstą mózgu Bolseca.

Niewątpliwie, że wrogie nastroje Rady, opozycja pospólstwa i spory religijne w wielkim stopniu uprzykrzały dotąd Kalwinowi życie, ale najfatalniejszym był dla niego rok 1553. Był to rok nie tylko największego bodaj rozdźwięku między Radą a stronnictwem duchownych, ale również rok smutnego procesu Serveta. Sprawa z Servetem przysporzyła samemu reformatorowi wiele zgryzot, a na jego osobę i dzieło rzuciła ponury cień śmierci. Niektórzy nawet twierdzą, że rok 1553 jest przełomowym w dziejach reformacji szwajcarskiej. Proces Serweta, będący według nich sądowem morderstwem, odstręczył wielu od osoby i dzieła Kalwina, powstrzymując w ten sposób żywiołowy dotąd rozwój reformacji szwajcarskiej. Tymczasem fakty mówią zgoła co innego. Zasięg duchowego wpływu Kalwina po dawnemu zatacza w Europie coraz to szersze kręgi. Potępienie zaś bluźnierczej nauki i stracenie Serveta współcześni przyjmują naogół z uznaniem. Odzywa się zaledwie kilka krytycznych głosów, nie pochwalających rodzaj śmierci Serveta, przeciwko czemu przecież i Kalwin miał poważne zastrzeżenia. Dopiero z czasem poczęto łączyć nazwisko Kalwina z nazwiskiem Serveta, a nawet wręcz twierdzić, że Kalwin spalił Serveta. Jak to było naprawdę trudno już dziś orzec, w każdym jednak razie słusznie czy niesłusznie oba te wielkie nazwiska zda się nierozerwalnie już dziś łączą się ze sobą. W tem właśnie tkwi cały tragizm procesu Serveta, że dwie główne jego postacie, Servet i Kalwin, należą do rzędu wielkich osobistości [1]),

Miguel Serveto, syn aragońskiego notarjusza, był rówieśnikiem Kalwina: urodził się w r. 1511 w Villanueva w północnej Hiszpanji. W Saragossie studjował nauki przyrodnicze i zdobył tam tytuł magistra. Od r. 1528 studjował w Toulusie prawo, a jednocześnie rozczytywał się w Piśmie Św. i w traktatach jednego z największych ówczesnych teologów luterskich Filipa Melanchtona. Zdaje się, że właśnie pod wpływem tej lektury stał się zdecydowanym przeciwnikiem scholastyki i papiestwa. W r. 1530 został w Bolonji sekretarzem spowiednika cesarza Karola V i wraz ze świtą cesarską dostał się na sławny sejm w Augsburgu, na którym jak wiadomo została złożona konfesja protestantów niemieckich, zwana odtąd konfesją augsburską, a jej wyznawcy— ewangelikami augsburskiego wyznania. Konfesja ta nie podobała się Servetowi, jak nie podobał mu się katolicyzm, lub wyznania reformatorów szwajcarskich. Według niego ewangelicyzm wszystkich wyznań chociaż wzywał do nawrotu do pierwotnego chrześcijaństwa, nie czynił tego dość radykalnie: zrywał wprawdzie z Rzymem, ale wstrzymywał się wpół drogi. To też już w Niemczech uczony Hiszpan stara się skłonić protestantów i katolików do przyjęcia takiego chrześcijaństwa, jak właśnie on je pojął przez studja nad Pismem Św. i Ojcami Kościoła. W tej samej intencji zawiera później cały szereg znajomości z wybitnymi mężami Reformacji i tak np. w Bazylei styka się z Janem Oekolampadem, w Strasburgu z Bucerem i Capito i t. d. Wkrótce jednak ponosi go namiętność naukowca do Paryża, gdzie jako Villanovanus oddaje się gorliwym studjom przyrodniczym i medycznym, nie gardząc nawet astrologją, od której przecież nawet Melanchton uwolnić się nie umiał. Po uzyskaniu w r. 1540 stopnia doktorskiego praktykuje w Vienne jako powszechnie ceniony i szanowany lekarz. Doktora Villanovanusa znają w mieście wszyscy ubodzy. Często śpieszy on do nich z bezinteresowną pomocą, aby po wytężonej pracy i bieganinie zasiąść w ciszy swej izby nad pożółkłymi starymi pergaminami.

[1]) Por. J. L. Mosheim: Geschichte des Mich. Serveto. Helmst, 1748; Neue Nachrichten v. Serveto, Leipz. 1750. F. Trechsel: M. Servet u. s. Vorgänger, Heidelberg 1839. G. Galife: Quelques pages d'histoire exacte sur les procès intentés à Genève en 1547 à 1559, Vevey 1862. K. Brunnemann: Michael Servetus. Aktenmässige Darstellung des Criminalprocesses. Berlin 1865. Fritz Barth: Calvin und Servet, Bern 1909.

Servet to umysł niebywale wszechstronny, zdolny i twórczy [1]), duchowo spokrewniony z Paracelsusem, Cardanem, Telesiusem i Giordanem Bruno. Zespala on w sobie zainteresowania przyrodnicze z zamiłowaniem do głębokich studjów biblijno-egzegetycznych, które miały się stać jego tragicznem przeznaczeniem. W studjach swych nad Pismem Św. i Ojcami Kościoła, których często nazywał złośliwie „dziećmi Beliala", dochodzi do przekonania, że z systematu nauki chrześcijańskiej stanowczo należy usunąć naukę o Trójcy, jako nie posiadającej większej wartości, niż np. nauka gnostyków o eonach lub rzymska nauka o świętych. Jego zdaniem kościelna nauka o osobach Bożych jest podobnie jak papiestwo wymysłem djabelskim, i słusznie skłania żydów i mahometan do posądzania chrześcijan o triteizm. Bóg sam w sobie jest jednością, a Syn i Duch Św. to tylko emanacje Bożej istoty. Po urzeczywistnieniu się Królestwa Bożego na ziemi zarówno Syn Boży jak i Duch Św. wrócą do praistoty Boga i znowu zleją się z Bogiem w jedno.

Większość historyków i biografów niesłusznie posądza Serveta o panteizm. Wprawdzie Servet ma wiele wspólnego z panteistami ale w gruncie rzeczy panteistą jest tylko poniekąd. Jako przyrodnik silniej może podkreślał immanentyzm Boga niż gubiący się w czczych abstrakcjach teolodzy i to właśnie sprawiło, że na tle ówczesnych pojęć teologicznych poglądy Serveta sprawiają wrażenie jakgdyby były poglądami panteisty. Również nie należy mniemać jakoby Servet nie wierzył w Bóstwo Chrystusa. Wszak według niego wiara w Jezusa jako Syna wiecznego Boga (ale nie wiecznego Syna Bożego) jest najistotniejszym fundamentem chrześcijańskiego Kościoła. Bóstwo nie tkwi jednak w Chrystusie od wieków. Był czas kiedy Syna Bożego wcale nie było i przyjdzie czas kiedy go znów nie będzie. Bóstwo tkwi w Jezusie jako dar łaski Bożej i nagroda za doskonałe życie.

Ten nieledwie antropozoficzny pogląd oparty na teologji Pawła z Samosaty wymienił później Servet na pogląd żywcem wzięty z filozofji neoplatońskiej. Bóg, wieczna istota wszechrzeczy, jedyne źródło wszelkiego stawania się i wszystkich idei, jest bytem ponadczasowym i niepoznawalnym. Jako taki stworzył sam z siebie świat i objawił się temu światu w postaci Słowa (Logos, Elohim). Nie znaczy to jednak, że Bóg stał się człowiekiem, albo człowiek—Bogiem. To była tylko forma objawienia się jedynego Boga. Logos po zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu włada światem jako Duch Św. póty, póki nie zostanie urzeczywistnione Królestwo Boże. Trójca nie istnieje zatem w samym Bogu, ale tylko w dziejach objawienia się Boga, słowem jest to już nieledwie ekonomiczne ujęcie nauki o Trójcy Św., czyli taka subtelność teologiczna, która dziś laikowi pozwala spać zupełnie spokojnie. Inaczej jednak było w dawnych wiekach. Zagorzali teolodzy potrafili staczać ze sobą homeryckie boje o takie subtelności jak homouzja i homojuzja, porywając za sobą wszystko co żyło. Nieraz nawet sfanatyzowany tłum pałkami rozstrzygał w bójkach ulicznych subtelne teologiczne spory. Zgnuśniałe w dewocji i zewnętrznym kulcie średniowiecze położyło kres długim sporom. Wprawdzie djalektyka i sztuka prowadzenia dysput kwitła i w średniowieczu, ale przedmiotem sporów były tylko kwestje nie wychodzące poza granice urzędowego tomizmu. Dopiero humanizm i Reformacja pobudziły myśl krytyczną w kierunku dawnych sporów teologicznych, wywlekając znowu na wierzch sprawy dawno już roztrząsane i przez cały szereg soborów i synodów roztrzygane. Servet w myśl przysłowia nie tworzył coś nowego, ale jednem pociągnięciem pióra chciał przekreślić znojną pracę całych pokoleń i duchowy dorobek kilku wieków. Przytem z właściwą sobie złośliwością wyszydzał rzeczy najświętsze. Nie dziw, że ściągnął na siebie ogólne oburzenie. Jedną z najważniejszych przyczyn tragicznej jego śmierci był bodaj własny jego język. Wprawdzie rubaszność języka i obyczajów to ogólna i powszechna cecha ówczesnych czasów. Nawet Kalwin i Luter nie byli od tego wolni. Dziś niejednokrotnie słowa ich brzmiałyby „niepięknie", a już nawet wówczas raziły subtelnego Erazma Rotterdamczyka. W polemikach i dysputach, prowadzonych nieraz wprost z ambon, padały ostre i mocne słowa. Ludzie wówczas byli silni, silnych też musieli używać słów. Ale Servet stanowczo przebrał miarę. Jego wyrażenia nawet dla współczesnych brzmiały jak grube bluźnierstwa. Zwalczając np. naukę o Trójcy Św. pisał: „Gdyby aniołowie przywdzieli ciało osła, musielibyście przyznać, że aniołowie są osłami, umierają w oślej skórze, są czworonożnemi zwierzętami i mają długie uszy. Według tej logiki musielibyście wyznać, że sam Bóg jest osłem, że Duch Św. jest mułem, i tak jak muł umiera, tak i Duch Św. umiera. O, wy głupie bydlęta!" Nie dziw, że zarówno katolicy jak i ewangelicy niemieccy i szwajcarscy zwartym obozem wystąpili przeciw Servetowi. Kiedy w r. 1531 Servet wydał „Siedem ksiąg o błędach dogmatu Trójcy", posypały się z różnych stron ostre sprzeciwy. Zwingli, Oekolampadus, Melanchton i Strasburczycy zgodnie wystąpili przeciw Servetowi. Ale niewiele robił sobie z tego Servet. Zaraz następnego roku wydał „Rozmowy o Trójcy", które wywołały jeszcze większe oburzenie.

Tylko Kalwin stał na uboczu. Poza nie-

[1]) Servet długo przed Huxley'em jeszcze odkrył w organizmie ludzkim mały obieg krwi.

doszłą do skutku w r. 1534 w Paryżu (przy rue St. Antoine) dysputą obaj ci mężowie, Servet i Kalwin, nie utrzymywali ze sobą żadnych stosunków. Servet wyczuł jednak w Kalwinie człowieka równego sobie genjuszem. Zapragnął z nim wejść w bliższy kontakt i może zapłodnić go swą myślą. Już ta niedoszła dysputa, na którą się Servet z obawy przed prześladowaniem nie stawił, miała być wyzwaniem Kalwina do walki. Servet w publicznej dyspucie chciał pokonać Kalwina i drogą racji rozumowej zmusić go do uznania nowych poglądów. Ponieważ jednak sam przed grożącem ze strony katolików francuskich niebezpieczeństwem stchórzył, musiał szukać innych dróg nawiązania stosunków z Kalwinem. I rzeczywiście udało mu się za pośrednictwem lijońskiego księgarza Frelona nawiązać korespondencję z Kalwinem. Zasypał Kalwina blisko 30 listami, w których starał się przekonać reformatora genewskiego o słuszności swej nauki, oraz wezwać go do pójścia w dziele reformy kościelnej i religijnej jeszcze dalej, niż to uczyniła Reformacja. Zrazu Kalwin cierpliwie utrzymywał tę korespondencję z Servetem, ale wreszcie wyprowadzony z równowagi dość wyraźnie dał mu do zrozumienia, że ma coś lepszego do roboty niż odczytywanie jego marzycielskich bredni. Rozżalony Serwet skierował swą korespondencję do Abla Poupin'a, duchownego genewskiego, i między innemi tak pisał do niego: „Macie wprawdzie Ewangelję ale bez jedynego Boga, bez prawdziwej wiary, bez dobrych uczynków [1]). Zamiast jednego Boga macie trójgłowego Cerbera, zamiast prawdziwej wiary—wyśnione przeznaczenie; dobre uczynki uważacie tylko za pustą dekorację, a człowieka za bierny kloc z bezwolną wolą. Nie uznajecie niebiańskiego odrodzenia przez chrzest i zamykacie ludziom królestwo niebieskie. Biada wam, biada, biada! Wiem, że będę musiał umrzeć za swą sprawę, ale to mnie nie przeraża: uczeń winien dorównać mistrzowi".

W tonie Serveta daje się wyczuć rozdrażnienie z powodu zerwania korespondencji z Kalwinem i niemożności zjednania go dla nowej nauki. Kalwin natomiast szczerze się cieszył, że nie musi już słuchać „oślego wrzasku" Serveta. W piśmie swem „O zgorszeniu" (1550) nazywa go kacerzem, burzącym podstawy wszelkiej religji i jak kąsający pies napadającym na naukę o Trójcy Św. Mimo to Servet nie zraził się chwilowem niepowodzeniem. Z uporem manjaka, wierzącego w swoje apostolstwo, wydaje w styczniu r. 1553 w największej tajemnicy w Vienne u księgarza Baltazara Arnouillet swoje programowe wielkie dzieło „Restitutio christianismi" (Przywrócenie chrześcijaństwa), obejmujące stron 734. Ponieważ Inkwizycja depcze mu już po piętach przeto wydaje swoje dzieło anonimowo. Z cytatów umieszczonych na wstępie (Dan 12_1 i Objaw. 12_1, w których jest mowa o aniele Michale) i końcowych inicjałów M. S. V. (Michael Servetus Villanovanus) łatwo jednak domyśleć się autora. Dzieło to wyszło w 1000 egzemplarzach i zostało w tajemnicy rozprzedane na wszystkie strony, nie wyłączając nawet Genewy. Kalwin znał to dzieło już dawniej i ono to właśnie przyczyniło się do ostatecznego zerwania korespondencji z Servetem. Już w roku 1545 przesłał Servet Kalwinowi rękopis pierwszej redakcji swego dzieła, które do żywego oburzyło genewskiego reformatora. Kalwin tak o tem donosił Farelowi: „Niedawno pisał do mnie Servet i razem z listem przysłał mi ogromny rękopis swoich szaleństw (delcriorum), zwracając przy tem z niezwykłą zuchwałością moją uwagę na to, że znajdę w rękopisie niesłyszane i zadziwiające rzeczy. Koniecznie chce przybyć do Genewy, ale ja nie myślę stawać w jego obronie. Jeśli przyjedzie, nie ścierpię, żeby wyszedł od nas żywy (vivum exire nunquam patiar), o ile tylko moja powaga będzie miała jakie znaczenie".

Któżby pomyślał, że ta groźba w zapędzie wypowiedziana spełni się właśnie teraz po 7 latach. I co dziwniejsze, że do spełnienia jej przyczynił się nie tyle Kalwin, jak to się powszechnie mniema, a czysty tylko przypadek. Oto zacny uciekinier z Lijonu Guillaume Trie pisuje z Genewy do swojego krewniaka z Lijonu katolika Antoine'a Arneys'a i jak przystało na żarliwego zwolennika Reformacji czyni w swych listach pod adresem „papistów" różne niemiłe zarzuty. Oczywiście lijoński dobry katolik nie pozostaje dłużnym i ze swej strony zarzuca „heretykom" różne brzydkie sprawki. W serdecznej trosce o wieczne zbawienie duszy krewniaka doradza Trie'owi zaniechać błędnej nauki i wrócić do jedynej prawdziwej nauki katolickiej, a jeszcze lepiej opuścić czemprędzej grzeszną Genewę, w której niemasz żadnej karności i najokropniejsze szerzą się w niej nauki. Ale zatwardziały „heretyk" nie chce słyszeć o dobrej radzie krewniaka i zamiast opuścić Genewę i powrócić do katolicyzmu odpłaca się przyjacielowi pięknem za nadobne. „Zarzut taki — pisze do niego dnia 26 lutego 1553 roku — należałoby raczej uczynić wam papistom. Prześladujecie wyznawców Jezusa za to, że pragną żyć według nauki Syna Bożego, a jednocześnie cierpicie u siebie kacerza, godnego aby go żywcem spalono na stosie. Potępiły go wszystkie

[1]) Według Serveta Duch Św. wierzących w Jezusa Chrystusa odradza wewnętrznie przez chrzest i pobudza ich do nowego życia, pędzonego w doskonałości i pełnien dobrych uczynków. Servet przypisawszy chrztowi tak wielką rolę w dziele odrodzenia człowieka odrzucał wraz z anabaptystami, z którymi pozatem nie miał nic wspólnego, chrzest dzieci. Doradzał on chrzest w 30 roku życia, tak jak i Chrystus dopiero w 30 roku życia został przez Jana ochrzczony.

protestanckie Kościoły, ale u was jest on tak dalece tolerowany, że pozwalacie mu nawet drukować u siebie książki pełne najokropniejszych bluźnierstw. Jest to portugalski (?!) Hiszpan, Michał Servet, praktykujący lekarz. Żyje on w Vienne. Drukarz Arnouillet wydrukował jego książkę. Na dowód posyłam pierwszą kartkę jego dzieła".

Poczciwy Arneys chciał za wszelką cenę wykazać genewskiemu przyjacielowi, że jego zarzuty są całkiem bezpodstawne i że Kościół nigdyby takiego bezeceństwa jak Servetowe dzieło nie ścierpiał. Czemprędzej więc zaniósł list Trie'a i kartkę straszliwego dzieła inkwizytorowi Ory, którego zresztą już oddawna interesowała osoba Serveta. Servet jednak zręcznie wszystkiego się wyparł i poprzysiągł, że jest dobrym katolikiem i z autorem kacerskiego dzieła nie ma nic wspólnego. Ponieważ we wskazanej przez Arneys'a drukarni również nic podejrzanego nie znaleziono (dzieło Serveta drukowano w specjalnie ukrytem miejscu) wypuszczono więc Serveta na wolność, ale Arneys'owi polecono wydostać od genewskiego krewniaka książkę Serveta. Trie wszakże książki nie posiadał, ale że żył w dobrych stosunkach z Kalwinem wydostał od niego po długiem naprzykrzaniu się 17 listów Serveta, które natychmiast (26 marca) wysłał do Lijonu z uwagą, że zawierają to samo, co i książka Serveta. Między innemi pisał: „Muszę ci wyznać, że kosztowało mnie dużo zachodu zanim wydostałem od pana Kalwina to, co ci posyłam. Wprawdzie jest on zdania, że bluźnierstwa Serveta winny być ukarane, ale mniema, że nie ma obowiązku ściągać na niego katowskiego miecza; kacerstwo woli raczej usuwać pouczeniem, niż prześladowaniem. Ale usilnie na niego nastawałem, przedstawiając mu, że nazwą mnie lekkomyślnym oszczercą, jeśli mi nie pomoże. Wreszcie zdecydował się wydać te listy".

Co właściwie skłoniło Kalwina do wydania tych listów? Czy rzeczywiście chodziło mu o ratowanie reputacji Trie'a? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, że w ten sposób wydaje Serveta w ręce Inkwizycji? Czy chciał może za tę cenę uwolnić pięciu studentów ewangelików, uwięzionych w Lijonie i skazanych na stos? Przecież 16 maja i tak wszystkich żywcem spalono?! Tych pytań nie zdołamy już dziś roztrzygnąć. Trudno usprawiedliwiać czyn Kalwina: fakt pozostaje faktem. Kardynał Tournon rzeczywiście miał powód do serdecznego śmiechu i mówienia: kacerz wydaje kacerza w ręce św. Inkwizycji.

4 kwietnia Servet został aresztowany. Tłumaczy się, że wcale nie jest Servetem, autorem bluźnierczej książki, ale najspokojniejszym lekarzem Villanovanusem. Z Servetem ma tylko tyle wspólnego, że czytał jego dzieła i polemizował na ich temat z Kalwinem tak, jakgdyby sam był ich autorem. Oczywiście, że przebiegły inkwizytor Ory nie mógł wierzyć w takie tłumaczenie „portugalskiego Hiszpana" i źleby było z Servetem, gdyby mu się w trzy dni po aresztowaniu nie udało umknąć z więzienia. Dnia 7 czerwca skazany został zaocznie na śmierć i symbolicznie (in effigie) spalony na stosie wraz ze swemi bluźnierczemi księgami. (Pozostały zaledwie 3 egzemplarze pierwszego wydania „Restitutio christianismi").

Servet, wyrokiem Inkwizycji skreślony z listy ludzi żyjących i tropiony jak dziki zwierz, szuka schronienia w Neapolu, gdzie ma wielu przyjaciół i zwolenników. 13 sierpnia w drodze do Włoch zatrzymuje się chwilowo w Genewie jakgdyby nie spodziewał się z tej strony żadnego niebezpieczeństwa. Pod wieczór, kiedy wsiada do łodzi w zamiarze przeprawienia się przez jezioro i przedostania się do Włoch, zostaje raptem poznany i znowu za sprawą Kalwina aresztowany. Dlaczego? Krótko przed tym wypadkiem Kalwin otrzymał pismo od włoskiego ewangelika Paolo Gaddi, w którem tenże donosi Kalwinowi o wielkiej liczbie zwolenników Serveta we Włoszech i o zamiarze Serveta odwiedzenia swych włoskich przyjaciół. Ruch Serveta we Włoszech szkodzi wszelkiej religji, zagrażając w pierwszzm rzędzie sprawie reformacyjnej. „Bądź ty młotem, który zmiażdży Serveta"—pisze Gaddi Kalwinowi. A zatem nie osobista niechęć, ale względy polityczno-religijne nakazywały Kalwinowi unieszkodliwić Serveta. Wszelka łagodność wobec przeciwnika Trójcy Św. rzuciłaby cień na jego dzieło i to nietylko w oczach katolików i luteran, ale nawet Berneńczyków, z którymi Kalwin bądź co bądź musiał się liczyć. Z polecenia Kalwina sekretarz jego Nikolas de la Fontaine wystąpił wnet przeciwko Servetowi z 39 punktami oskarżenia.

Serveta osiem razy przesłuchiwano. Od czwartego badania brał udział w śledztwie również Kalwin. Rozmowa obu tych mężów często była gwałtowna. Raz odezwał się Kalwin do Serveta: „Jeśli Bóg jest istotą wszechrzeczy, tedy nawet ta podłoga, na której stoisz, ta ławka, na której siedzisz, ba sam nawet djabeł jest Bogiem". Na co Servet nie mniej gwałtownie odpowiedział: „Tak, a nawet i ty sam". Kalwin za wszelką cenę starał się przekonać Serweta o jego błędzie, ale więzień na wszystkie zarzuty odpowiadał cytatami z Ireneusza, Tertuljana i innych Ojców Kościoła, uporczywie obstając przy swoich przekonaniach. Reformator genewski przekonuje się, że jego wysiłki na nic się nie zdadzą. 20 sierpnia pisze do Farela: „Przypuszczam, że (Servet) będzie skazany, ale pragnąłbym przynajmniej uzyskać dla niego łagodny sposób śmierci".

22 sierpnia generalny prokurator Rigot, perrinista, a więc przeciwnik Kalwina, wystę-

puje przeciw Servetowi z oficjalnym aktem oskarżenia. Servet już wie co go czeka. Mimo to z płaczem prosi aby go pozostawiono w Genewie i nie wydawano Inkwizycji, która w międzyczasie zwróciła się do Genewy z żądaniem wydania jej Serveta. Rada Genewy nie chce brać na siebie odpowiedzialności za wyrok. Wysyłka posłów do Bernu, Bazylei, Zurychu i Szaffhauzy, ale wszystkie kantony wypowiadają się przeciwko Servetowi. Opinje ich odczytano w małej Radzie dnia 23 października. Pierwszy syndyk Ami Perrin stara się oddać sprawę w ręce Rady 200, ale wniosek jego nie przechodzi i mała Rada bez dalszej już dyskusji 20 głosami (4 członków Rady nie przybyło) skazuje Serveta na spalenie. 26 października Kalwin pisze do Farela: „Servet bez debat został skazany. Wyrok zostanie wykonany jutro. Starałem się uzyskać łagodniejszy wyrok, ale napróżno". Dla ścisłości dodać trzeba, że Kalwin nie należał do grona sędziów, wśród których zaledwie tylko 7 było przyjaciół Kalwina, a pozostałych 15 rekrutowało się z partji wrogiej Kalwinowi.

Nazajutrz po wyroku Kalwin odwiedził Serveta w celi. Oświadczył mu, że nie żywi do niego osobistej urazy, i prosił go, żeby pojednał się z Bogiem i odwołał swoje bluźnierstwa. Ale Serwet nie chciał o tem słyszeć, Kalwin wyszedł z celi i już więcej nie widzieli się ci mężowie.

Serveta na śmierć wiódł Farel. I jego próby skłonienia Serveta do odwołania bluźnierstw spełzły na niczem. Serveta przywiązano do pala i wkrótce języki ognia wzbiły się do góry, ale długo palił się stos, bo... drzewo było wilgotne jakby na złość intencjom Kalwina.

Kto podpalił stos na polach Champel? Trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć. Że w wielkim stopniu przyczynił się do tego Kalwin to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale czyż można go posądzić o zbrodnię jakiej nieraz dopuszczała się św. Inkwizycja? Oczywiście, my, ludzie XX wieku patrzymy ze wstrętem na stosy męczeńskie, chociażby ginęli na nich najwięksi kacerze i bluźniercy, ale okazalibyśmy zupełną nieznajomość dziejów, gdybyśmy do dawnych czasów przykładali miarę dzisiejszą. Wtedy nie miano jeszcze pojęcia o wolności przekonania. Umiano się np. w roku 1555 zdobyć na zawarcie w Augsburgu pokoju religijnego, który wysuwał potworną zasadę cuius regio eius religio, t. j. zasadę, w myśl której panujący decydował o religijnych przekonaniach swych poddanych. W owe czasy surowe było życie, surowe było prawo, a także i ludzie byli surowi w wymierzaniu kar. W r. 1566 berneńczycy ścięli Gentilisa za to samo przestępstwo, za które zginął w Genewie na stosie Servet. Stosy płonęły jeszcze 200 lat później, wprawdzie już nie stosy kacerzy, ale t. zw. czarownic. W r. 1545 spłonęło w Genewie na stosie 15 kobiet oskarżonych o czary i rzucanie na ludzi zarazy. W Meklemburgji w r. 1687 spłonęło 6 czarownic, w Szwajcarji w r. 1782 spalono dziewczynę, a w Meksyku jeszcze w r. 1877 w ten sposób pozbawiono życia 5 czarownic. Mimo to stos Serveta w oczach potomnych przesłonił na zawsze wielką postać Kalwina. Ale współcześni inaczej sądzili. Piotr Martyr Vermigli uważał np. wyrok genewskiej Rady za całkowicie słuszny, albowiem Servet bezsprecznie był synem Szatana. Duchowny w Zurychu Walther pisał do jednego z przyjaciół, że przez spalenie Serveta usunięto niebezpieczeństwo zagrażające całemu Kościołowi. Nawet Hieronim Bolsec, prawiący o Kalwinie niestworzone rzeczy, pisywał później stale, że plugawy i straszny kacerz Servet nie zasługiwał na to, aby żyć dłużej. Jedynie w Bazylei szczególnie w sferach uniwersyteckich sądzono inaczej. Zdaniem bazylejczyków nauka Serveta była wprawdzie godna potępienia, ale Rada genewska stała się zbyt pochopnie narzędziem teologicznej nienawiści Kalwina. Także i Piotr Paweł Vergerius pisał do Bulingera, że choć nienawidzi Serveta jak psa i węża, ale nie sądzi, aby trzeba go było palić, wystarczyłoby całkowicie dożywotnie więzienie. Ale nie brakło również głosów bardziej jeszcze krytycznych. Musculus z Berna wręcz twierdził, że zabito człowieka zamiast jego błędów, anonimowy zaś autor pisał, że gdyby do Genewy przyszedł Chrystus, byłby znów ukrzyżowany przez genewskiego papieża. Hiszpan Alfons Syncur z Tarragony napisał nawet apologję swego współziomka.

Wobec tak sprzecznych, często nawet wrogich głosów, Kalwin pisze w r. 1554 pismo, które podpisali wszyscy duchowni genewscy: „Obrona wiary ortodoksyjnej w dogmat Trójcy Św. przeciwko błędom Serveta, z dowodami, że kacerzy śmiercią karać trzeba". Filip Melanchton, jeden z najznakomitszych teologów luterskich, przeczytawszy tę „Obronę" tak pisał do Kalwina: „Najmilszy bracie! Czytałem twoje pismo, w którem tak jasno zbijasz oburzające bluźnierstwa Serveta, i dziękuję Synowi Bożemu, który był twej walki sędzią i kierownikiem. Kościół Chrystusowy musi ci być zobowiązany teraz i po wszystkie czasy. Zwierzchność twoja, skazująca na śmierć bluźniercę, postąpiła zupełnie prawnie. Dziwię się tylko, że są jeszcze ludzie, którzy ośmielają się ganić waszą srogość".

Potomność nie podzieliła jednak zdania Melanchtona. W 350 lat po męczeńskiej śmierci Serveta na skutek zabiegów prof. Doumergue'a, autora monumentalnej biografji Kalwina, obywatele Genewy postawili dnia 27 października 1903 roku na placu Champel pomnik z napisem: „Michałowi Servetowi. Pełni szacun-

ku i wdzięczności synowie Kalwina, potępiający jego błąd, który ze swoimi czasy podzielał, wierni zwolennicy wolności sumienia zgodnie z prawdziwemi zasadami Reformacji i Ewangelji, wznieśli ten ekspjacyjny pomnik". Nie żałowali nań pieniędzy nawet wolnomyśliciele i katolicy. Na taki heroizm ekspiacji Kościół katolicki nigdy nie umiał się zdobyć, chociaż miał ku temu aż nazbyt dużo okazyj.

(d. c. n.)

LECTOR.

ZE ŚWIATA.

Wychodząca w Radomiu „Prawda katolicka" ogłosiła okólnik Kuratorjum Okręgu szkolnego Poznańskiego z d. 27 marca b. r. o treści następującej: „Doszło do mojej wiadomości, że wnioski rodziców, należących do sekty adwentystów względnie Badaczy Pisma Św. o zwolnienie ich dzieci od nauki religji, są niejednolicie załatwiane. Wobec tego, że wymienione sekty nie zostały uznane przez Państwo, zarządzam, by dzieci wymienionych sekciarzy nie zwalniano z nauki religji katolickiej". — Wszyscy wiedzą doskonale, że adwentyści i Badacze Pisma Św. rekrutują się przeważnie z ewangelików. To raz. Dalej: Konstytucja zapewnia wszystkim obywatelom wolność sumienia, a do pojęcia wolności sumienia należy także prawo decydowania o przynależności wyznaniowej niepełnoletnich dzieci. Na tem samem stanowisku stoi papieska encyklika „O chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży". W encyklice tej czytamy: „Byłoby przeciwne przyrodzonemu prawu, gdyby dziecko, nim dojdzie do używania rozumu, wydarte było z pod opieki rodziców, albo gdyby bez ich zgody cokolwiek było odnośnie do niego postanowione. Stanąłby w oczywistej sprzeczności, kto ośmieliłby się twierdzić, że dziecko pierwej niż do rodziny należy do Państwa i że Państwo ma bezwzględne prawo do jego wychowania". Encyklika ta powstała w czasie walki z faszyzmem. Jeśli więc papież uważa, że dziecko powinno zależeć przedewszystkiem od rodziny, to Kuratorjum, inspirujące się względami na interes Kościoła rzymskiego, nie powinno być bardziej katolickiem od papieża. A to tembardziej, że takie zarządzenia, krzywdzące sumienia obywateli polskich, na nic się nie zdały. Nauka religji w szkole może wydawać dobre owoce tylko wtedy, gdy jest w zgodzie z nauką domową. Gdy zaś rodzice nauczają dziecko czego innego, niż katecheta, powstaje tylko pożałowania godna demoralizacja duszy dziecięcej i poczucie krzywdy.

„Deutsch-Evangelische Korrespondenz" z d. 9 maja r. b. donosi, że w Austrji pomimo rygoryzmu rządów chadeckich wzmaga się ruch pro-ewangelicki. W roku 1931 wystąpiło z Kościoła rzymskiego i przyłączyło się do Kościoła ewangelickiego 3724 osoby, w roku następnym było ich 3738, zaś w roku 1934 liczba ta podniosła się do 5273 osób. Jest to bardzo dużo, gdy zważymy, że biurokracja austryjacka, inspirowana przez Rzym, na wszelki sposób utrudnia przechodzenie na ewangelicyzm.

Toż samo pismo ewangelickie podaje w tym samym numerze taki charakterystyczny przykład biurokracji austryjacko-rzymskiej. W lipcu roku 1933 w górskiem miasteczku austrjackiem, L., pewni małżonkowie zameldowali odpowiednim władzom, że przechodzą do Kościoła ewangelickiego. 5 marca 1934 r., czyli po upływie ośmiu miesięcy otrzymali odpowiedź urzędową, że ich deklaracji nie przyjmuje się do wiadomości. Co za swoista wolność sumienia pod rządami chrześcijańskiej demokracji!

Katolicka „Schönere Zukunft" (Nr. 31) donosi o przyjęciu przez papieża uczestników tegorocznego kongresu „Pax Romana" i o jego przemówieniu do nich. Papież podniósł i podkreślił znaczenie w chrześcijaństwie katolickiem przymiotnika „rzymski". Przymiotnik ten ma wyrażać wszystko, co boska Opatrzność związała z Rzymem: jedyny, prawdziwy, katolicki i apostolski Kościół. Bez przymiotnika „rzymski" Kościół ulega wypaczeniu a chrześcijaństwo zostaje zepchnięte w pobliże pogaństwa. — Koncepcja dość oryginalna, bo cała teologiczna wiedza współczesna ustala prosty i powszechnie znany fakt, iż właśnie przymiotnik „rzymski" oznacza m. i. niezliczone zapożyczenia katolicyzmu z pogaństwa rzymskiego. Nikt nie doczytałby się różnych kultów marjańskich, kultów świętych i kultów relikwij w Nowym Testamencie, ale istnieją one w Kościele rzymskim. Tadeusz Zieliński, wielki erudyta i znawca Kościoła rzymskiego, powiada, że w Rzymie istnieje kościół Marji Panny zbudowany na fundamentach świątyni bogini Minerwy. Nazywa się ten kościół jeszcze dzisiaj „Maria sopra Minerva". Prof. Zieliński widzi w tem symbol: kult Marji wyrasta na Minerwie. I nietylko kult Marji. Pierwsze wieki Kościoła są wyraźnym dowo-

dem jego postępującej romanizacji i cezaropapizacji.

Wszędzie istnieje duch naszego KAP'u. O ścisłość i prawdę nigdy nie chodzi, ale zawsze panuje wielka dbałość o to, aby czytelnik został „zbudowany", choćby kłamstwem wyssanem z palca. „Münchener Katholische Zeitung" z d. 11 marca r. b. w specjalnym numerze spowiedziowym (Beichtnummer) opowiada bajeczkę o jakiejś córce jakiegoś pastora ewangelickiego. Córka dla spokoju swej duszy chciała jakoby wyspowiadać się i zwróciła się z tem do swego ojca - pastora. „Lecz pastor chciał być uczciwy wobec swego dziecka i wyznał mu szczerze: — Dziecko, nie mam dla ciebie rady. My protestanci nie mamy spowiedzi, idź do kapłana katolickiego. — Poszła i stała się katoliczką, aby mogła się spowiadać". — Dosłownie. Pewien pastor ewangelicki, zainteresowany tym wypadkiem, zwrócił się do księdza redaktora z prośbą o szczegóły oraz o wiadomość o owym pastorze, który córkę swoją posyła do spowiedzi do kościoła rzymskiego. Na list swój z d. 20 marca nie otrzymał odpowiedzi i po daremnem czekaniu około czterech tygodni, napisał do redaktora, ks. Ottona Bottländera jeszcze raz, mówiąc, że jeśli nie otrzyma szczegółów to całą tą jawną bajkę uważać będzie za wyssaną z palca, czyli poprostu zełganą. Redaktor nie odpowiedział i na ten list.

Jedna córeczka pastora w takich „budujących" bajdach to drobiazg wobec wieści o 600 pastorach, którzy ratując „niesfałszowany luteranizm" zwracają się z hałaśliwem pismem do papieża. Gdy się potem szuka szczegółów, nikt o niczem nie wie. Źródło takich bajek jest zawsze jedno i zawsze chodzi tu o „pia fraus", pobożne oszustwo. Cel uświęca środki jezuickie.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

SYNOD KOŚCIOŁA NASZEGO.

W Niedzielę dnia 10 czerwca po uroczystem nabożeństwie w kościele naszym na Lesznie rozpoczną się obrady tegorocznego Synodu Kościoła naszego. Będą one dla przyszłości i rozwoju Kościoła niezmiernej wagi, bowiem na Synodzie dokonane być mają wybory Prezesa Konsystorza i obu świeckich członków Konsystorza. Z tego też względu konieczną jest rzeczą, aby jaknajwiększa liczba wyznawców Kościoła naszego, prawo uczestnictwa na Synodzie posiadających, na Synod przybyła. Zwłaszcza Zbory nasze prowincjonalne winny wysłać delegatów swych na Synod do Warszawy.

Nabożeństwo przedsynodalne w kościele naszym na Lesznie rozpocznie się o godzinie 10-ej, bezpośrednio zaś po nabożeństwie rozpoczną się obrady synodalne w sali Zborowej.

W dniach 8 i 9 czerwca odbędzie się przedsynodalna sesja Konferencji Duchownych Jednoty naszej.

Ś. P. RADCA JERZY KURNATOWSKI.

Kościół nasz, a w szczególności Konsystorz Kościoła naszego poniósł w dniach ostatnich znowu ciężką i bolesną stratę. Po raz drugi w roku bieżącym opłakujemy śmierć zasłużonego pracownika na niwie kościelnej. W styczniu pochowaliśmy nieodżałowanego Prezesa Konsystorza, ś. p. Profesora Henryka Sachsa, teraz znowu stawać musimy nad grobem Radcy świeckiego Konsystorza ś. p. Profesora Jerzego Kurnatowskiego.

We Wtorek, dnia 22 b. m. o godzinie 3 po południu zmarł na udar mózgowy w rodzinnym majątku Wola Krokocka w powiecie Sieradzkim ś. p. Jerzy z Bytynia Łodzia-Kurnatowski, Radca Konsystorza i Profesor Szkoły Nauk Politycznych i Wolnej Wszechnicy Polskiej. Zmarły przez trzy kadencje pełnił zaszczytne obowiązki Radcy Konsystorza naszego, wyróżniając się w pracy swej gorącem umiłowaniem Kościoła swych przodków i poświęcając wiele czasu i serca badaniom jego sławnej przeszłości. Jako potomek starej szlacheckiej polsko-ewangelickiej rodziny cenił sobie wysoko piękne tradycje polskiego ewangelicyzmu, któremu służył z całem oddaniem się i któremu pozostał wiernym do skonu. Nasz organ kościelny „Jednota" traci w zmarłym jednego z najwierniejszych i najzdolniejszych swych współpracowników i oddanych przyjaciół.

Cześć Jego pamięci!

Pogrzeb zmarłego odbył się w piątek dn. 25.V na cmentarzu w Szadku, gdzie zwłoki zmarłego złożone zostały do grobu rodzinnego.

Obszerniejsze wspomnienie o zmarłym podamy w następnym numerze „Jednoty".

S.

ZE ZBORU ŁÓDZKIEGO.

Dnia 26 kwietnia r. b. oddał Bogu ducha swego po ciężkiej choć krótkiej chorobie ś. p. Karol Howorka, długoletni członek Kolegjum Kościelnego naszego Zboru, jednocześnie pełniący obowiązki inkasenta zborowego. Karol

Howorka urodził się w Żelowie dnia 25.XII 1862 roku jako syn miejscowych gospodarzy Pawła i Marji ze Szpringlów małżonków Howorków. Początkowo zajmuje się gospodarstwem rolnem, następnie przemysłem tkackim rękodzielniczym w Żelowie, lecz w roku 1902 przenosi się do Łodzi i tutaj osiada na stałe, zajmując się pracą tkacką w miejscowym przemyśle aż do ostatniej niemal chwili swego życia. Od pierwszych już chwil swego pobytu w Łodzi wstępuje ś. p. Karol Howorka w szeregi nielicznych wówczas pracowników nad budową i rozwojem ówczesnego filjału a dzisiejszego Zboru Łódzkiego. Zaledwie w rok po swym przbyciu do Łodzi umie on swą pracą i osobistą prawością zaskarbić sobie zaufanie swych współwyznawców, czego wyrazem jest wybranie go w r. 1905 na członka Kolegjum Kościelnego, na którem to zaszczytnem i trudnem ze względów materjalnych stanowisku wytrwał on przez 30 lat. W charakterze członka Kolegjum ś. p. Karol Howorka umiał być dla Zboru prawdziwym „starszym Zboru", nietylko bowiem bierze udział w posiedzeniach i pracach zespołu kolegjalnego, ale również odprawia nabożeństwa oraz naucza młodzież katechizmu, zastępując w miarę możności dojazdowego duchownego. W ciężkich latach wojny europejskiej ta chętna i gorliwa pomoc ś. p. Karola Howorki była szczególnie cenną, dodawała bowiem serdecznej otuchy i sił do przetrwania w najgorszych chwilach naszym ciężko doświadczanym nietylko materjalnie, ale i moralnie współwyznawcom w Łodzi. W okresie jeszcze przedwojennym i aż do śmierci pełnił zmarły obowiązki inkasenta zborowego, mając sobie powierzone całkowicie inkasowanie składek, które w Łódzkim Zborze stanowią główne źródło dochodu zborowego. W ciągu wielu lat tej zaprawdę ciężkiej, a przytem bardzo odpowiedzialnej pracy ś. p. Karol Howorka wykazał sumienność i uczciwość swego charakteru w całej pełni i nigdy nie zawiódł pokładanego w nim ze strony ogółu zborowników zaufania. Przez swą pracę w Zborze i dla Zboru stał się ś. p. Karol Howorka postacią znaną i popularną, nic też więc dziwnego, że śmierć jego dla wielu niespodziewana, gdyż zmarł po 10-dniowej zaledwie chorobie, wywołała powszechny żal, a jego pogrzeb stał się prawdziwą manifestacją tych uczuć zborowników.

Uroczystość pogrzebowa odbyła się w sobotę dnia 26 kwietnia r. b. w kościele parafjalnym. W zapełnionym do ostatniego miejsca kościele wygłosił przemówienie żałobne Ks. Pasterz Zboru Ludwik Zaunar na tekst Ew. Mt. 20,8 podkreślając wierną i nieskazitelną pracę zmarłego dla dobra rodziny swej, Zboru i Kościoła, oraz składając pozostałej wdowie i rodzinie serdeczne wyrazy współczucia od Przewielebnego Księdza Superintendenta Stefana Skierskiego, byłego długoletniego administratora Zboru, od miejscowego Kolegjum Kościelnego i całego ogółu zborowników. Przy pięknym śpiewie chóru zborowego wyniesiono trumnę z kościoła. Nad otwartą mogiłą Ks. Pasterz przemówił ponownie na tekst Ew. Mt. 13, 43, a po modlitwie przy śpiewie chóru zasypano martwe szczątki na wieczne w ziemi odpocznienie. Odszedł z naszego małego grona wierny nasz współbrat, skromny i cichy, ale użyteczny w niejednem człowiek. Jego odejście odczuwamy, jako wielką stratę w czasach, gdy tak niewielu rozumie potrzebę oddania serca sprawie Zboru i Kościoła. Oby Pan Wszechmogący dawał nam wielu takich ludzi na naszej kościelnej i zborowej niwie, jakim przy całej swej prostocie i skromności był dla swego Zboru ś. p. Karol Howorka.

Ks. L. Z.

OFIARY.

Na wydawnictwo „JEDNOTY".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. JW-ny Senator Józef Evert — Warszawa	Zł	2.00
2. JW-ny Generał Aleksander Litwinowicz — Grodno	„	8.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc czerwiec 1934 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina

1. Niedziela, dn. 3.VI (I N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. J. Jelen.
2. Sobota, dn. 9.VI. Przygotowanie do Komonji Ś-ej o godzinie 6 po południu . . . . Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dn 10.VI (II N. po Trójcy Ś-ej) nabożeństwo **Synodalne** z Komunją Ś-tą o godzinie **10 rano**. . . . . Ks. St. Skierski.
4. Niedziela, dn. 17.VI (III N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. E. Jelinek.
5. Niedziela, dn. 24.VI (IV N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. J. Jelen.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł. 150; II str. — 100; III str. — zł. 75; ½ str. — zł. 75, 50, 35; ¼ str. — zł. 40, 30, 20, i ⅛ str. bez względu ua stronę — zł. 20.

STRONY ZWYKŁE cała strona — zł. 100, ½ str.— 50; ¼ str.— 30; ⅛— zł. 20. Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia Wydawnicza. Warszawa, Kacza 15.